

Niekiedy wilkiem się nazywał, lecz wilkiem nie był, raczej chciał być, gdy cały naród raźnie śpiewał – on wołał zawyć – pisała w wierszu o Marku Hłasce jego narzeczoną Agnieszka Osiecka. Ich narzeczeństwo nie miało dalszego ciągu. Oboje przeżywali potem bardzo barwne życie, obfitujące w romanse, przelotne miłości, małżeństwa.

Podsumowując swój związek z Hłaską, Osiecka napisała, że łączyły ich nadmiar wyobraźni i skłonność do życia we śnie. Nigdy przy tym nie ukrywała uznania, a wręcz podziwu dla jednego z kaskaderów polskiej literatury, od którego śmierci minęło właśnie 55 lat.

W jednym z wywiadów Agnieszka Osiecka powiedziała mi przed laty:

– Dwoistość była jego cechą dominującą. W wieku lat dwudziestu kilku na jego twarzy dominowały dwa grymasy: tragiczno-zrozpaczony i pełen oszalałego szczęścia. Walczyły w nim dwie natury. Z jednej strony doświadczenia starszych ludzi i to, co widział dokoła, utwierdzało go w przeczuciu wielkiej katastrofy pewnych wartości. Wychowywał się w stalinowskich czasach i widział, że moralność upada. W szkołach czytano na przykład radziecką powieść o chłopcu, który został bohaterem, ponieważ doniósł na swego tatę. Marka doprowadzało to do autentycznej rozpacz. On uwielbiał Josepha Conrada, kochał wzór moralności zupełnie skrajnej. Kapitan powinien iść na dno razem ze swoim statkiem, w przyjaźni liczy się wierność, dzieci i rodzice powinni być lojalni wobec siebie. W wielu listach są ślady rozpacz, że świat zmierza ku katastrofie, ponieważ umierają stare wartości, takie jak honor czy wierność. Z drugiej strony Marek był młodym, silnym, pełnym wigoru chłopakiem. Dwie natury: wesoła i smutna, jasna i tragiczna, spletały się mocno, zwłaszcza kiedy wypił trochę wódki. Wówczas jedną minę robił wesołą, drugą smutną w ciągu pięciu minut.

Piękni dwudziestolenni

Poznali się na przełomie 1956 i 1957 roku. Osiecka była wschodząca gwiazdą Studenckiego Teatru Satyryków, Hłasko miał na koncie głośny zbiór opowiadań „Pierwszy krok w chmurach”. Okazja do spotkania była dość nietypowa. Koleżanka studiującej w łódzkiej filmówce Osieckiej poprosiła, by oddała w jej imieniu książkę Hłasce. Sama bowiem pokłóciła się z nim i nie chciała go znać. Agnieszka z pewnością miała świadomość, że jest szansa poznania polskiego Jamesa Deana. Początek spotkania w warszawskiej kawiarni Kamienne Schodki nie nastrojał optymizmem. On czuł się na tyle gwiazdą, że potraktował ją jak jedną z wielu wielbicielek. Urażona duma Agnieszki dała znać o sobie, czym wzbudziła zainteresowanie Hłaski. Kiedy zaproponował kolejne spotkanie, ona zaprosiła go domu na Saską Kępę, by nowo poznanego kolegę przedstawić rodzicom. Spotkanie wypadło na tyle dobrze, że państwo Osieccy pozwolili córce spotykać się z dobrze zapowiadającym się literatem gdzieś na mieście, już bez ich nadzoru.

Osiecka nie kryła dumy z poznania Hłaski, pisała, że był dla niej proletariackim księciem z bajki, nazywała go też syberyjskim kowbojem. Nie ukrywała, że był inny niż wszyscy, których dotychczas znała, był kimś, kim można było pochwalić się przez koleżankami. A najbardziej, jak przyznała, ceniła w nim wisielczy humor.

Ich znajomość rozwijała się dość szybko, ale choć Osiecka przyjęła jego zaręczyny i stała się oficjalną narzeczoną Hłaski, traktowała go raczej jak brata niż kandydata na męża. Jak przyznała, bardziej uwodziła ją jego dusza niż ciało. Ten związek nie bez racji można więc określić jako rodzaj „komunii dusz”. Poetka niemal od początku stała się dla pisarza przyjaciółką, powiernicą, siostrą. Hłasko tylko komuś takiemu mógł powiedzieć szczerze o targającym nim i niszczącym uczuciu do starszej o dziesięć lat, mającej męża i dzieci, dziennikarki Hanny Golde, do której zdesperowany wydzwaniał i groził, że gdy odrzuci jego miłość, on gotów jest popełnić samobójstwo.

– Gdy poznaliśmy się, byłam bardzo dziecinna, choć miałam 20 lat. Nie łączyło nas jakieś szczególne uczucie – wspominała mi początki znajomości Osiecka.

– Stanowiliśmy po prostu parę przyjaciół, znajomych, i to raczej dalekich. Ot, po prostu chłopak i dziewczyna. Marek wówczas bardzo kochał się w dziennikarce Hannie Golde. Miałam okazję ją poznać i pamiętam, że to bardzo piękna kobieta, mężatka. I choć myślę, że uważał ją za największą miłość, ona nie darzyła go tak wielkim uczuciem, by zdecydować się na rozwód. Marek bardzo cierpiał z tego powodu, urządzał nawet rozpaczliwe sceny, wyjeżdżał, to znów wracał. Kiedy się poznaliśmy, sporo mi o Hannie opowiadał, bo rzeczywiście często o niej myślał. Któregoś dnia, bodajże w 1957 roku, poprosił, bym do niej zadzwoniła. I wówczas po raz pierwszy miałam okazję usłyszeć jej głos. Wyobrażałam sobie, że musi to być jakaś niedosiężna, tajemnicza dama, a jednocześnie taka trochę... studenteczka, „dziewuszyna z Saskiej Kępy”. Kiedy z pełną pokorą zaczęłam mówić, że dzwonię w imieniu Marka Hłaski, przerwała mi dość raptownie i rzekła: „Ach, to pewnie znowu te wygłupy z prochami!”.

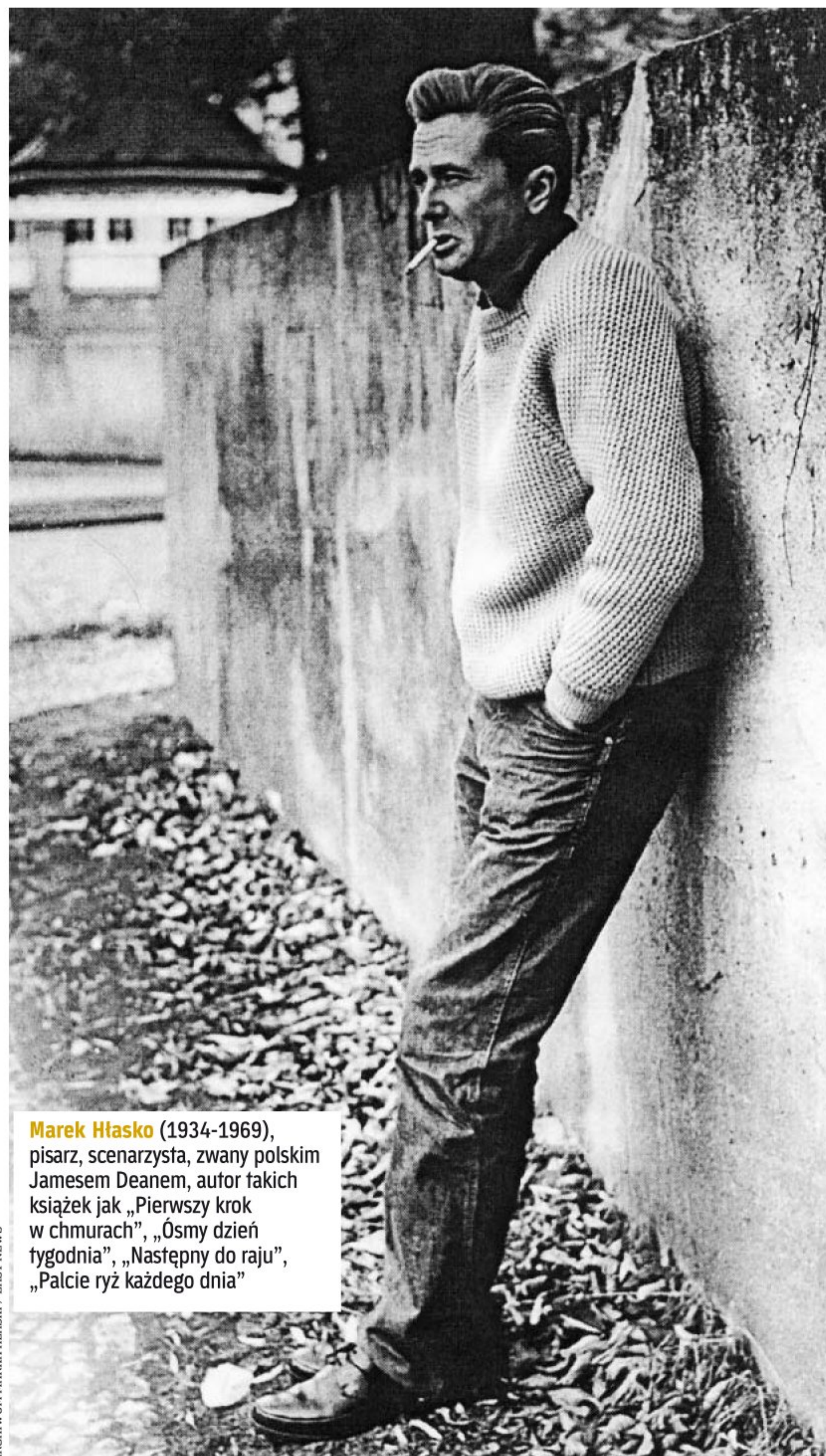
Nawiązanie znajomości z Osiecką było więc dla Hłaski rodzajem balsamu na skołatane nerwy i lekarstwem na miłość niemożliwą, w której ewidentnie poniósł porażkę. Kiedy pogodził się ostatecznie z utratą Hanny Golde, zaprosił nawet Agnieszkę do Kazimierza, dokąd wyjechał, by topić smutki po stracie wielkiej miłości. Agnieszka i Marek wyjeżdżali zresztą razem coraz częściej. Kilkakrotnie nawet Osieckiej udało się namówić go na wspólne wyjazdy na ukochane Mazury. Kiedyś, gdy w ostatniej chwili musiał wyjazd odwołać, zadzwonił i roztrzęsionym głosem oświadczył, że czuje się totalnym wrakiem. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Wstrząśnięta Agnieszka wysłała mu następujący list:

„Marku najmiłszy! Tu są Mazury, więc wielkie niebo i jezioro spokojne jak pies. Oczywiście, jak dobry, łagodny pies. Siedzę na brzegu starej studni. Obok gdać smutno jakaś kura, a ja chcę Ci powiedzieć parę rzeczy ważnych. (...) Zadzwoniłeś do mnie parę dni temu i powtarzałeś: »Jestem wrak«. Mówiłeś, że nic nie napiszesz. I wołałeś: »Nie licz na mnie«. Marek, masz w sobie to najpiękniejsze, co może mieć człowiek – prawdę. Nie chcesz być taki jak świat, w którym żyjesz. Nie zgadzasz się na ten świat. Jesteś najodważniejszy z naszego pokolenia, bo widzisz prawdę nawet tam, gdzie to bardzo boli. Jesteś bardzo piękny i bardzo wiele wart. Dlatego bzdurą są te złe słowa, które o sobie mówisz. I bzdurą jest to, czego się boisz – że już nie będziesz pisać. Nie zrezygnujesz z prawdy, więc będziesz pisał. Także najlepiej w naszym pokoleniu. Chyba że przestaniesz się buntować. Ale to Ci nie grozi. Wiem o tym. Kończę ten trudny list i proszę Cię, żebyś i Ty czasem zostawił kartkę »Szukałem Ciebie«. Do widzenia, kochany, Twoja Agnieszka”.

KOCHAŁ OSIECKĄ, PODZIWIAŁ CONRADA

JAN BOŃCZA-SZABŁOWSKI

Trwa Rok Marka Hłaski w 90. rocznicę jego urodzin. Pisarza przypominamy z perspektywy przymusowej emigracji i poetki, z którą był już zaręczony.



Marek Hłasko (1934-1969), pisarz, scenarzysta, zwany polskim Jamesem Deanem, autor takich książek jak „Pierwszy krok w chmurach”, „Ósmy dzień tygodnia”, „Następny do raju”, „Palcie ryż każdego dnia”

ARCHIWUM MARKA HŁASKI / EAST NEWS

Był urodzonym aktorem

Wiktor Osiecki, kompozytor, ojciec Agnieszki, w przeciwieństwie do swej żony od początku traktował Hłaskę z dystansem, uważając go za pozera i błazna, który bardzo świadomie buduje swoją legendę.

– Czy Marek budował legendę? – zastanawiała się Osiecka. – Na pewno taka potrzeba gdzieś w nim tkwiła. Był urodzonym aktorem. Zdarzają się ludzie, o których mówi się, że są pozera, ale kiedy ich poza staje się atrakcyjna, wtedy się nimi fascynujemy, zaczynamy ich kochać, niekiedy wręcz ubóstwiać. Marek był człowiekiem, który pisze swoją biografię nie tylko piórem na papierze, ale również żywą krwią. Stylizował się na różne postacie. James Dean był dla niego kimś wyjątkowym, wręcz uwielbiał go naśladować. Wcielał się też chętnie w bohaterów Dostojewskiego, ale myślę, że przede wszystkim odgrywał różne wcielenia samego siebie. A umiejętność transformacji miał po mamusi.

Jego mama, pani Gryczkiewiczowa secundo voto, miała niezwykle talent aktorski. Coś na pograniczu aktora i brzuchomowcy. Była solidnie zbudowaną warszawianką i sprawiała poważne wrażenie. W połowie lat 50. wydawała tak zwane obiady domowe. On lubił zapraszać na nie znajomych ze środowiska literackiego i artystycznego. Bywali tam często między innymi Jerzy Andrzejewski i Wilhelm Mach. Pani Maria z zainteresowaniem słuchała ich opowieści, a potem, relacjonując znajomym te spotkania, z wielkim talentem świetnie naśladowała głosy uczestników. I okazało się, że te umiejętności parodystyczne syn po niej odziedziczył.

Był też człowiekiem obdarzonym niewątpliwą fantazją. W latach stalinowskich niemal przy każdej okazji trzeba było pisać życiorysy. Zwłaszcza gdy chciało się wstąpić do jakiejś organizacji, choćby do Polskiego Czerwonego Krzyża. Ciągłe pisanie życiorysów to był taki rodzaj kontroli. Marek jednak za każdym razem pisał co innego. Raz podawał się za syna senatora, innym razem był synem strażaka, jeszcze innym – kierowcy. Raz nawet podał, że jest sierotą. Wychowawczyni nie wytrzymała i wezwała panią Hłaskową na rozmowę. Oświadczyła wtedy, że Marek jest bezczelny, bo co chwila inaczej wypełnia ankiety i pisze inny życiorys. Pani Maria Hłaskowa wysłuchała z uwagą i nie kryjąc oburzenia, wykrzyknęła: „A cóż pani sobie wyobraża, że mój syn za każdym razem miałby pisać to samo. Przecież on ma fantazję, on nie jest idiotą!”.

Panna Czaczkes i Fernando

Marek Hłasko tytułował Osiecką panną Czaczkes. Tak zwracał się do niej zwłaszcza w korespondencji.

– Uwielbiał przeżywać swych przyjaciół i znajomych – twierdziła Osiecka. – Jak tylko kogoś poznał, dosłownie w ciągu pięciu minut nadawał mu zabawne przydomkowi. Mademoiselle Thackgesse, czyli panna Czaczkes, to była bohaterka komicznego, przedwojennego kryminału, który Marek czytał akurat wtedy, gdy się poznaliśmy. Inną postacią tego powieści-dła był niejaki Fernando. I w naszej korespondencji Marek nazywał mnie panną Czaczkes, a siebie Fernando lub Fernandino. Kiedyś nawet dla kawału, a może akurat miał kaca, przysłał mi depeszę: „Panno Czaczkes, Twój Fernando nie żyje”. Miałam długo w swoich papierach

tę depeszę i zawsze, kiedy ją czytałam, mróz przebiegał mi po kościach, bo uświadomiłam sobie, że mogło to być nieświadome przeczucie śmierci.

W wydanych listach Marka Hłaski nazwisko Agnieszki Osieckiej pojawia się w 1957 roku. W liście do Jerzego Giedroycia Hłasko prezentuje ją jako „sygnatariuszkę” swojej powieści „Cmentarze”, którą ma w jego imieniu wręczyć szefowi paryskiej „Kultury”. Misja Osieckiej kończy się powodzeniem. Giedroyc informuje, że powieść będzie drukowana w listopadowym numerze pisma.

Pewnym smaczkiem z tego okresu w ich wzajemnej korespondencji jest niedawno odkryty list Osieckiej z października 1957 roku. Udostępnił go nam biograf Hłaski i niedawny odkrywca jego powieści „Wilk” Radosław Młynarczyk. Prezentujemy go (po raz pierwszy) za zgodą córki poetki, Agaty Passent:

„Londyn, 15 X 57

Marku kochany!

Już od paru dni jestem w Londynie. Listu od ciebie nie ma, a wiadomość o Tobie i »Cmentarzach« – smutne.

Bardzo się niepokoję.

Proszę – napisz.

Co do mnie, to czuję się nie najlepiej. Zarówno Anglia, jak i moja tutejsza rodzina – to duży szok, obcość, inna epoka. No, ale powoli się osuwam.

Jeszcze raz proszę – napisz do mnie i do »Kultury«. I pamiętaj o rzeczach dobrych, które są na świecie. M.in. o psie Dago (?) i o Kazimierzu.

Agnieszka

PS. Pozdrów Henryka, tego śmiesznego blondasa (kandydata na długi nóż sprężynowy). Czy piszesz ze mnie recenzje?

Panna Czaczkes”.

Henryk zasługujący na nóż sprężynowy to krytyk Henryk Bereza, o którego miłość do Hłaski Agnieszka najwyraźniej była zazdrosna. Bereza uważał z kolei, że jej nadmierna opiekuńczość wobec Marka, wyciąganie go z chwil depresji, rozmiękcza go i osłabia jako mężczyznę w walce z przeciwnościami losu.

Po otrzymaniu prestiżowej Nagrody Wydawców i udanej misji Osieckiej, czyli zainteresowaniu Giedroycia swoją twórczością, w 1958 roku Hłasko postanawia po raz pierwszy wyjechać za granicę. Udaje się do Francji na własny koszt i ryzyko, bo obiecane stypendium i oficjalna zgoda zostają mu cofnięte. Zaplanowany na kilka miesięcy pobyt trwa do końca życia. Przed wyjazdem, aby przypieczętować związek z Agnieszką Osiecką za pośrednictwem najważniejszej kobiety swego życia, czyli matki, prosi o rękę Agnieszki. Maria Hłasko informuje o tym posunięciu Marię Osiecką i w ten sposób obie panie Marie patronują ich narzeczeństwu. W marcu 1958 roku Hłasko pisze z Paryża do narzeczonej:

„Stworzonko Kochane!”

Myślałem, że wczoraj, w niedzielę, będziesz dzwonić, więc nie wychodziłem z domu. Czekałem cały wieczór. Myślałem również, że napiszesz do mnie – zawsze poznaję, a właściwie poznawałem Twój charakter pisma wśród stosu innych kopert. (...) czekamy wszyscy na Twój przyjazd i bardzo się niepokoi. Jesteś stałym tematem rozmów i wszyscy mnie zadreżdżają,

abym opowiadał na Twój temat, ale udało mi się ich zrazić opowieścią o Twojej nieposkromionej zmysłowości – teraz mnie już nie dręczą. W Paryżu już bardzo zimno, a konie znów podróżowały. Kwiaty także. Natomiast tanie są pomarańcze. To strasznie śmieszne. (...)

Panno Czaczkes, jeśli możesz pisać do innych mieszkańców tego domu czułe listy, zdobądź się również na parę słów do mnie. I wybac mi pierwszy smutny list – i nie mów o nim nikomu. Ojcu powiedz, żeby się nie denerwował – ja sobie jakoś skromnie radzę. Dziś przeprowadziłem pierwszą rozmowę z jakimś nieznanym panem w pisuarze: mówił coś do mnie bardzo długo, a ja mu w końcu odpowiedziałem: »Olala«. Rozstaliśmy się w przyjaźni: jest to pierwszy Francuz przyjaciel, jakiego mam – ale liczę na dalszych.

Fernandino

PS. Cenzorom wyjaśniam, że informacje o koniach nie stanowią żadnego szyfru, tylko że ja jestem wesołym idiotą”.

Kolejny list z Paryża, z początku kwietnia 1958 roku, jest już w zupełnie innym tonie:

„Mademoiselle Thackgesse!

Nie pisałem tak długo z powodu kompletnego zamętu w mózdzku. (...) Wybac mi kabotyński ton listu, ale tylko do Ciebie tak piszę. Dla innych Paryż: las neonów, orgia świateł i tak dalej. Żle się czuję, marnie śpię, w dzień chodzę, jakby mnie byk wyjebał. A tutejsi dobrzy ludzie patrzą na mnie ze zgrozą. (...) To jest straszne, jak człowiek przestaje się cieszyć słońcem, dobrą pogodą i tym wszystkim, co może wycisnąć dla siebie z tej kupy gówna objętej planowym deficytem, jaką jest kosmos. Dlaczego tak idiotycznie dzieje się w moim przypadku? Tak samo chciałem być szczęśliwy, jak inni ludzie. A teraz często zapytuję sam siebie: czego pragnę? Czy są takie rzeczy na świecie, o których bym marzył? I wiem dobrze, że nie ma niczego takiego, że obracam się w pustce i rozkładam ludzi – tych, którzy mi dobrze życzą, i tych, którzy mnie lubią.

Nie mogę nic pisać; wszystko, co mam do napisania, jest wrogiem człowiekowi i przeciwko człowiekowi. To jest literatura brudnego mikroskopu, literatura bez konsekwencji, którą powinno się tapetować ściany w kłozetach. Życie bez idei jest nonsensem. (...)

Najszczęśliwszy byłem w Polsce, kiedy nie miałem co jeść, co palić. Kiedy chodziłem w podartych portkach i kiedy wierzyłem, że jakoś ułożę swoje życie. Postaram się pojechać jeszcze do Włoch, a potem wracam do Warszawy. I będę jeździł w teren, będę laził kilometrami po błocie, będę rozmawiał z dyrektorami PGR; z łazikami i przodownikami. Z milicjantami i traktorzystami; i nie umrę spokojnie, dopóki nie znajdę wiary i apoteozy. Wtedy będę szczęśliwy. Całuję Ciebie, moje kochane stworzonko i czekam na Ciebie tutaj wraz z innymi.

Mark

PS Strzeż się swej nieposkromionej zmysłowości”.

Wyrażona w liście tęsknota za powrotem do Polski pojawia się w czasie, kiedy Hłasko zaczyna odnosić sukcesy w Paryżu. Za „Cmentarze” wydane przez Instytut Literacki wraz z „Następnym do raju” otrzymuje nagrodę „Kultury” dla pisarza krajowego. To wywołuje wściekłość w kraju. „Trybuna Ludu”, nazywając Hłaskę „Primadonną jednego tygodnia”, rozpoczyna dyskredytującą go kampanię medialną. Ponieważ nie przedłużono mu wizy, twórca „Pięknych dwudziestole-

nich” występuje o azyl polityczny w RFN, co praktycznie zamyka mu powrót do PRL.

Wszyscy byli odwrócenii?

Przerażony zmasowanym atakiem na niego, w listach do Osieckiej pisał: „Nie wiedziałem, że świat dzieli się na dwie połowy: w jednej jest nie do życia, w drugiej nie do wytrzymania. (...) Nigdy nie myślałem, że będę Cię tak kochać... Co będzie, jeśli ja tu zdechnę i nie zobaczę Cię już? Może by było lepiej dla Ciebie, żebyś się zakochała i zapomniała o mnie? Może mnie już nie kochasz”.

Utwory Hłaski wychodzą w Tel Awiwie, Kopenhadze, Budapeszcie. On wyjeżdża do Włoch i Niemiec, gdzie spotyka Sonję Ziemann poznaną w Polsce na planie „Ósmego dnia tygodnia”. Proponuje jej małżeństwo. W 1960 roku w Izraelu ogromne wrażenie robi na nim Esther, którą potem wielokrotnie będzie wspominał, a po rozstaniu z Sonją postanawia do niej wrócić. Podróżuje po świecie, pisze kolejne opowiadania i powieści. Podczas pobytu w Londynie na zaproszenie producenta filmowego, wylatuje do Hollywood. Ma kłopoty ze zdrowiem. Ukrywane przed rodziną i znajomymi w kraju powtarzające się coraz częściej zatrucia środkami nasennymi i alkoholem stają się oficjalnie przyczyną śmierci 14 czerwca 1969 roku, kiedy to jego ciało znaleziono w mieszkaniu producenta filmu „Wszyscy byli odwrócenii”, kolejnej ekranizacji jego utworu.

– Myślę, że zażywanie proszków i popijanie ich alkoholem stało się dla Marka jakimś rytuałem, sposobem, by zrobić wrażenie na kobiecie, czy też doznać silnych wrażeń. Udało mu się raz, drugi, trzeci, aż w końcu się przeliczył – mówiła mi Agnieszka.

Ostatni raz spotkali się w Stanach Zjednoczonych. Mieli już więc za sobą różne doświadczenia życiowe. W „Dziennikach” Osiecka podzieliła się refleksją. „Zamiast świętować miłość, zamiast chuchać na to, to się tak strasznie kręciłam, ponieważ myślałam, że ja po prostu zdążę. Że ja będę zawsze młoda, zawsze Marek będzie młody. Że świat na nas poczeka. A nic nie poczekalo”.

To wyznanie Agnieszki bardzo koresponduje z listem Hłaski wysłanym z Monachium pod koniec 1958 roku: „Kochanie moje! Gdyby mi ktoś powiedział, gdybym miał choć odrobinę gwarancji, że będę mógł być z Tobą choć przez rok, choć przez pół roku, a potem – śmierć, to bym przyjechał do Ciebie. To nie melodramat. To wyznanie tego, który na pewno, z całym idiotyzmem i kabotyzmem najczęściej Cię kochał. W końcu przyjdzie taka noc, kiedy prześpisz się z innym. Ja Ci się nigdy nie podobałem. Ale to inna sprawa. Ale lepiej być pijanym, niż myśleć, że ta chwila w końcu przyjdzie. Ale jeszcze nie rób nic ostatecznego. Jesteś taka młoda. Masz jeszcze czas, każdy chce być szczęśliwy. Ja chciałem być szczęśliwszym od innych, ale Bóg mnie ukarał. Bałem się o Ciebie. Ale dziś wszystko, co nas dzieliło nie wydaje się tak ważne. (...) Ja też jestem sam, zupełnie sam...”.

W ostatnim wywiadzie, tuż przed śmiercią, Marek Hłasko przyznał: „Wielka miłość zdarza się w życiu tylko raz. Wszystko, co następuje potem, jest tylko szukaniem tej utraconej miłości”.

Hłasko nie wymienił wprost nazwiska tej jednej jedynej. Czy myślał o Osieckiej...? /©©

Cytaty z Osieckiej pochodzą z moich rozmów z poetką. Listy zacytowałem z Marek Hłasko „Listy”, Wydawnictwo Agora 2014